



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

*Petersburg, 5/18 czerwca.* Dziś o godzinie 7-ej z rana, w Peterhofie, JEJ CESARSKA MOŚĆ NAJJAŚNIEJSZA PANI ALEKSANDRA TEODORÓWNA powiła szczęśliwie Córkę, której dano imię Anastazy.

## CZTERY PORY DNIA.

### IV.

Splynęła cudna,  
Gwiazdzista noc, —  
Wkrąg toń bezludna  
I Boża moc.

\*

Zaśnione wody,  
Bez ruchu bór,  
W cieniach ochłody  
Śpi Boży twór.

\*

Tym, co bez skazy  
Dnia nieśli znój, —  
Senne obrazy,  
Złocony rój...

\*

Gwiazd miliony  
Uszały szlak:  
Tu Wóz rzucony,  
Tam znamię Wag...

\*

Wzrok aż się mami  
Od mlecznych dróg, —  
Nad obszarami —  
Wciąż czuwa Bóg.

*Józef Jankowski.*

## UPAŁ.

Pogadanka na dcbie.

— Ach! jak gorąco!  
— Ach! jak gorąco! wytrzymać nie można!  
— Nieznośne te upały! — Takie głosy słyszę nieraz,  
zwłaszcza wśród pańienek, które odznaczają się mniejszą  
wytrwałością na gorąco niż chłopcy, a może tylko mniejszą  
cierpliwością, i zapominają, że niezbyt dawno wykrzyki-  
wały: ach! jak zimno, albo też: nieznośna słońca!

Otóż przedewszystkiem zauważyć muszę, że nie tak



w czasie upałów nie powiększa uczucia gorąca, jak niecierpliwienie się i narzekania.

Potęgują one napływ krwi do mózgu, podrażniają i doraźnie, że tak powiem, wymierzają karę na niecierpliwych, podnosząc ich wewnętrzzną temperaturę. Tymczasem najlepszym środkiem do łatwego znoszenia upału jest spokój, cisza, unikanie wszelkiego wysiłku i podrażnienia.

To też ci, co w czasie skwaru letniego, mogą spokojnie siedzieć w domu albo w cieniu drzew i nie potrzebują pracować pod palącymi promieniami słońca, nie mają prawa narzekać na upał; gdy im zanadto dokuczy, niech wspomną o kosiarzach i żniwiarzach na wsi, o dorożkarzach, piekących się na kozłach, o robotnikach, zankniętych w dusznych izbach fabrycznych, o tysiącach, którzy muszą pracować koniecznie bez względu na stan powietrza i temperatury. Niech wspomną też o mieszkaniach stref tropikalnych, a choćby i południowej Europy, gdzie także słońce inaczej dopieka niż u nas.

Co do mnie, lubię bardzo gorąca i upały, o ile niepotrzebuję męczyć się w słońcu, a w pokoju można zawsze utrzymać u nas temperaturę możliwą, trzeba tylko zamknąć okna i zapuszczać rolety w czasie największego skwaru od 10-ej do 5-ej, a otwierać je na wieczór i noc całą.

Skąd się biorą upały? Naturalnie od słońca, bo słońce jest głównym źródłem ciepła w tej części wszechświata, która się koło niego ześrodkowuje. Działanie jego promieni zależy najbardziej od kierunku, w jakim padają. Im prostopadlej, tem silniej grzeją, dla tego też w porze letniej, gdy słońce wznosi się daleko wyżej na nieboskłonie niż zimą, mamy gorąca, a pod równikiem, gdzie słońce zatacza przez rok całą najwyższe koło, klimat jest najgorętszy.

Ale zapytacie, dla czego nawet latem, choć słońce jednakowo przyświeca, jeden dzień bywa bardziej, a drugi mniej upalny, nie mówiąc naturalnie o dniach pochmurnych i słotnych, bo każdy rozumie, że musi być chłodniej, skoro chmury i obłoki zasłaniają słońce.

Pochodzi to stąd, że promienie słoneczne, padając na powierzchnię ziemi, przechodzą przez otaczającą ją atmosferę t. j. powłokę powietrzną, która część ich ciepła zatrzymuje, a część odbija napowrót w przestrzeń międzyplanetarną. Ilość zatrzymanego ciepła bywa różna w danym okresie czasu dla każdej miejscowości i zależy od wielu przyczyn, jako to wysokości poziomu gruntu, wilgoci i wreszcie wiatrów.

Wszelkie parowanie pochłania ciepło, a więc ochładza temperaturę okoliczną, która po deszczu bywa zwykle mniej gorąca, wiatry zaś, przynosząc gorętsze lub chłodniejsze warstwy powietrza także ogromnie wpływają na temperaturę dnia w danej miejscowości, niezależnie od działania słońca. Można powiedzieć, że atmosfera jest niejako skarbnikiem ciepła, które słońce do jej kasy zsyła, ona je przechowuje i rozdaje rozmaicie.

Ale narzekania na zbyt długie i wielkie upały są słuszne, gdyż przedewszystkiem, sprowadzają suszę, wypalają roślinność, niszczą urodzaje, plon całorocznej pracy rolników i żywność ludności, a z drugiej strony działają szkodliwie na zdrowie ludzi. Dwóch rzeczy trzeba się przedewszystkiem wystrzegać w czasie upałów: narażenia się na bezpośrednie działanie słońca, zwłaszcza z odkrytą głową, oraz nagłego ochłodzenia ciała, które może spowodować niebezpieczne zaziębienia.

Ponieważ należy się spodziewać, że tegoroczne lato obdarzy nas jeszcze raz po raz szeregiem dni skwarnych, podajemy tu pokrótce przepisy, jak się zachowywać w czasie upałów, zaczerpnięte z czasopisma p. t. „Przewodnik zdrowia.”

A więc po pierwsze co do pożywienia, pamiętajmy, że przetrwanie pokarmów wywołuje we wnętrzościach naszych sporo ciepła, szczególnie zaś tłuszczu. Poczuciowo też zmniejsza człowiek w dniach gorących ilość pożywienia, a za to więcej pragnie. Najzagorzalszy też spożywcą mięs tłustych i ostro przyprawnych traci chęć na nie w dni

skwarne, łaknąc potraw lżejszych, mącznych, jarzyn i owoców i t. p.

Idźmy za tym popędem, za głosem przyrody! Nie jadajmy w dni gorące tłuszczów, jak najmniej mięsa, a spożywajmy: jarzyny i sałaty, owoce, ryż, kaszę, kukurydzę i chleb.

Pragnienia nie gaśmy napojami, zawierającymi alkohol, nie pijmy piwa, które nie gasi przecież pragnienia, starajmy się zaspokoić, jedząc dużo owoców (poziomki, maliny, jagody, wiśnie i t. p. i t. p.), bo z niemi razem spożywamy dużo wody i to wody przekroplonej (destylowanej w słonecznej pracowni przyrody. Skoro zaś nie wystarczą nam owoce same, pijmy soki owocowe, lub wodę z sokiem, a szczególnie też odwary roślinne (herbatę z liści poziomkowych, malinowych, jeżynowych, krwawnikowych i t. p.)

Zmęczeni biegiem lub wysiłkiem cielesnym nie pijmy nagle chłodnej wody, w tym razie uciekajmy się zawsze raczej do owoców!

Na ciało nasze, w którym się w czasie skwarów na gromadza zbyt dużo ciepłoty, możemy działać ożywczo i chłodząco nie tylko owocami i zdrowymi napojami, lecz także działaniem z zewnątrz: zmywaniami zimną wodą, kąpielami i t. p.

Bardzo wygodnym środkiem szybkiego ochłodzenia zbyt rozpalonej krwi jest podstawienie dłoni przez 1 do 2 minut pod promień chłodnej wody, w mieście pod wodociąg, w ten sposób, by prąd wody oblewał szczególnie okolice stawu napiastkowego czyli przydłonkowego i to w miejscu, gdzie biją tętna. Oczywiście zważać trzeba, by na spoconą dłoń nie puszczać nagle ostrego prądu lodowej wody. Należy wprzód potrzymać ręce w miednicy!

Kto może, niech używa prócz kąpeli w wodzie bieżącej także jak najwięcej kąpeli powietrznych w miejscu cienistym.

Ubranie na upały powinno być obszerne, przewiewne, jasne. Ciemne materye wchłaniają dużo ciepła z zewnątrz, a powstrzymują przewiew. Ubranie, przylegające do ciała, nie pozwala występować na zewnątrz ciepłocie wewnętrznej.

Kto musi dużo chodzić lub pracować, niechaj pamięta o tem, by w pewnych odstępach czasu dawał odpoczynek zmęczonym mięśniom, a pragnieniu czynił zadość w sposób rozsądny. Przy pracy cielesnej lepiej odpoczywać częściej, a zdołamy pracować dłużej i zrobić więcej, aniżeli spiesząc się, i nie dając ciału wytchnienia przez godzinę lub dwie.

Kto przezornie postępuje, temu nie zaszkodzi upał słoneczny, ten nie potrzebuje obawiać się porażenia ani przeziębienia.

W. R.

Zofia Urbanowska.

## ROZA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej

(Dalszy ciąg)

— A więc ty ją znalazłeś! — zawołał, zaciskając pięści ze złością. Jakiż zły duch stawia cię zawsze na mojej drodze! To ja byłbym ją znalazł, skoro już jestem w tej dolinie. A nawet... nawet zasługa znalezienia, mnie się raczej należy, bo widziałem niedaleko stąd krzak róży. Może to ta sama! Powiedz mi gdzie ją zerwałes?

— Jeżeliś krzak widział, to nie potrzebujesz o to pytać — odpowiedział Henryk, wiedząc doskonale że mały hrabia skłamał.

Davy przygryzł wargi.

— Chciałem wiedzieć, czy to ta sama — tłumaczył się zmieszany, czy też zerwałeś ją z innego krzaka. Ty jesteś moim nieszczęściem! Od czasu jak przyplątałeś się do nas, sir Warburton niechętnie na mnie patrzy i stał się jeszcze więcej surowym i niesprawiedliwym niż był dawniej; a odkąd zacząłeś wyjeżdżać przy każdej sposobności z czynami bohaterskimi, uważa mnie za skończonego niedołęgę. Zapowiedział nawet żebym się niczego po nim nie spodziewał, że pracą będę musiał zdobywać sobie byt i stanowisko. Słyszysz? *niczego* po nim, on ma tyle pieniędzy że nie wie co z nimi robić! A teraz — dodał, patrząc zazdrośnie na gałązkę róży — teraz, gdy mu zaniesiesz kwiat, za którym napróżno upędza się od trzech tygodni, podbijesz serce starogo do reszty...!

I śmiejąc się nienaturalnie, dodał:

— Gotów cię jeszcze uczynić swoim spadkobiercą! A choć jesteś dumny jak książę i powiedziałeś na Krzyżnym, że nie dbasz o łaskę baroneta, jednakże...

— Nie kończ! — zawołał oburzony Henryk — ubliżasz sir Edwardowi i mnie. Czyż nie rozumiesz, że...

— Nie przerywaj mi! — zawołał Dawid z uniesieniem — muszę ci raz wszystko wypowiedzieć: Słyszałem na własne uszy, jak dziadek mówił do pana Waltera, że jesteś podobny do mego ojczyma, Ryszarda, którego on kochał do szaleństwa. Dobry początek, nieprawdaż? A potem, gdyś pojechał na tę waryacką wyprawę tratwą, po tego dziwaka Stranda, i burza powstała na jeziorze, stary o mało nie oszalał z obawy o ciebie... a gdyś powrócił, porwał cię w objęcia i ścisnął jak własnego syna! A wiesz, że gdy się nie ma następców w prostej linii, prawa angielskie nie bronią przelać majątku na obcych, nawet na cudzoziemców. Nie wiem co ty za jeden i skąd się tu wziąłeś, ale matka moja utrzymuje, że dziadek musi mieć krewnych w waszym kraju.

Henryk słuchał tych zwierzeń zrazu ze wstrętem a potem z wzrastającym zdziwieniem. A więc to była przyczyna zemdlenia lady Alicyi przy Morskiem oku? Tego się oni obawiali! Przypuszczenia małego hrabiego były zupełnie bezsensowne, ale skoro matka i syn mają podobne obawy, powinien usunąć się zupełnie. Nakazuje mu to sumienie i honor — a przytem, nazbyt szczerze przywiązał się do sir Edwarda, aby chciał wnosić kłókol nieporozumienia w jego kółko rodzinne.

— Posiadasz pan bardzo bujną wyobraźnię — rzekł poważnie — skoro w twojej głowie wyległy się podobne przypuszczenia. Pochodzi to pewnie stąd, że masz za dużo czasu i myślisz ciągle o pieniądzach. Ja ich nie mam, ale je sobie w przyszłości zdobędę, bo lubię pracować. Nie liczę na żadne spadki ani ich pragnę. Zrozumiałbyś to, gdybyś, zamiast myśleć ciągle tylko o sobie, patrzył uważniej na drugih. Nie mam bynajmniej zamiaru mięszać się w twoje sprawy rodzinne i jeżeli gałązka róży może usunąć twoje obawy, to weź ją sobie!

To mówiąc odczepił ją od kapelusza i oddał Dawidowi.

— Jaktó! — zawołał tenże zdumiony — więc ty... na prawdę... chciałbyś...

— Chcę, żeby sir Edward posiadał to czego pragnie, a czy ja mu dam tę gałązkę, czy kto inny, to wszystko jedno; cel zostanie osiągnięty. Żegnam, widzimy się po raz ostatni.

I zmieniwszy pierwotny zamiar, oddalił się w głąb doliny, którą teraz postanowił zwiedzić do końca, bo nie miał już powodu spieszyć się z powrotem.

Dawid pozostał sam, zdziwiony niespodziewanem rozwiązaniem sprawy, z gałązką róży w ręku, a wstyd palił go jak rozpalone żelazo. Dwie plamy czerwone wystąpiły mu na policzki, głowa pochyliła się pod ciężarem doznanego upokorzenia. Czuł całą niedelikatność swego postępowania i zgnębiony był wspaniałomyślnością przeciwnika.

Po drugiej stronie strumienia widać było zstępujące-

go ze stoku Waltera, obładowanego obfitą zdobyczą. Puszcza jego pełna roślin, nie dawała się zamknąć i jeszcze ręce obie miał niemi zajęte. Skinął na Davego, żeby mu przyszedł z pomocą w dźwiganiu tych zbiorów. Mały hrabia podniósł się i postąpił kilka kroków, ale nagle krzyknął i odskoczył ze wstrętem. Nastąpił na coś miękiego i śliskiego. Była to żmija nieżywa, a na głowie jej widne były ślady uderzeń siekiarki. Leżała w miejscu, gdzie kamienie toczące się na dół zbudziły go ze snu.

— O Boże! — zawołał Dawid przerażony — to on zabił tę żmiję i ocalił mnie, a ja mu się odpłaciłem tak haniebnie! I nic nie powiedział...! nie raczył się nawet tłumaczyć, gdym napadł na niego, że mi przeszkadza... Pogardza mną, to widoczne. Jestem okropnie ukarany, bo muszę go szanować i... podziwiać! Jakiż on dumny i szlachetny, ten mały Polak, a ja, jakżem zły i samolubny... O, matko, matko!

Henryk szedł nie oglądając się za siebie, i przystanął dopiero na kładce rzuconej przez strumień, gdy był pewny że już nie dosięgnie go oko niczyje. Staął i spojrzął przed siebie. Z lewej strony miał rąbanisko, między którym stały samotnie pojedyncze świerki, w głębi Gewont, a w dole nad strumieniem wspaniałe rozłożyste buki zasłaniające dalszą drogę. Na prawo, piętami wznosiły się ściany skaliste, poszarpane i ostremi zakończzone wieżycami, które górale zwą „kominami,” i upatrują podobieństwo do mnicha, a do swych postaci, a nawet do Matki Boskiej. Henryk zatrzymał wzrok na tej ostatniej, i zdało mu się że w tej smukłej kamiennej postaci rozróżnia istotnie rysy Matki Zbawiciela z Dzieciątkiem Jezus na ręku, a do złudzenia tego dopomogły jeszcze małe przejrzyste obłoczki, przepływające u jej stóp. Patrzył, patrzył, a wszystka gorycz, uczucie doznanej niesprawiedliwości, żal i ból spłynęły do serca, które wezbrało i rozpląkał się. Taki był szczęśliwy niedawno, taki dumny, a teraz...! Sir Edward nie dowie się nigdy, kto znalazł różę bez kolców, ani jak bardzo pokochało go wdzięczne serce polskiego chłopca...

— Ach, czemuż sir Edward nie jest ubogim! — westchnął — mógłbym wtedy śmiało okazać mu co czuję, i nie wzbudzałbym niczyjej niechęci.

Była chwila że żałował, iż oddał różę Dawidowi, ale potem powiedział sobie, że dobrze zrobił, i że nie mógł inaczej uczynić. Wstał i szedł znowu dalej, a gdy doszedł do polany, gdzie były szałas i pasło się krów kilka, zobaczył na środku wielki głaz podobny z kształtów do Sfinksa. Przystanął i jął mu się przypatrywać.

— Czytałem gdzieś podanie, że Sfinks przebywający na skale pod Tebami, zadawał każdemu przechodniowi zagadkę, a nie uniejącego rozwiązać takowej, połykał. Myślę że mnie żadnej nie zada, i że nie będę połknięty. Sir Warburton to także rodzaj Sfinksa... Bo też to dziwny człowiek: bogaty jak król, a zdaje się nie przywiązywać żadnej wagi do pieniędzy, i nawet wyraża się o nich z gorzką ironią. Gdy mnie zapytał na Krzyżnym, czy chciałbym być bogaty, i odpowiedziałem mu że tak, uważałem że popatrzył na mnie z politowaniem, wydało mi się, że nawet straciłem coś w jego pojęciu. Jego postępowanie to prawdziwa zagadka, nie tylko dla mnie ale dla wszystkich; pan Jakób i pan Witold myślą tak samo jak ja, bo widzę często, że gdy on powie coś niespodzianie, patrzą na siebie jakby to była zagadka, której nie mogą rozwiązać.

Z jednego, bliżej Sfinksa położonego szałasu, wyszedł doktor a zobaczywszy Henryka zawołał zdziwiony.

— Ty tutaj chłopcze? A to niespodzianka! Jak się masz, mój kochany? pewnie przyszedłeś szukać róży bez kolców. I ja o niej myślałem także, ale nie spotkałem jej dotąd. Może ty będziesz szczęśliwszy. „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.” Jakże tu sam trafiłeś?

— Pastuszek drogę mi pokazał.

— Ale masz jakiś smutek w oczach, co ci jest?

— Mam swoje zmartwienia... — odrzekł z cicha.

— O! jest nawet liczba mnoga? Czy można wiedzieć jakie?

— Dziadunio napisał nam, żebyśmy wracali do Miratycz, bo nie może już więcej przysłać pieniędzy. Mieliśmy zabawić tutaj całe dwa miesiące, a pewnie za jaki tydzień wyjedziemy!

— A tobie góry do serca przypadły, nieprawdaż? Sir Edward też nową projektuje wyprawę, w której mógłbyś wziąć udział. Przytem przykrą ci jest myśl rozstania się z baronetem, z którym się tak bardzo zaprzyjaźniłeś?

— To prawda — odrzekł szczerze chłopiec. — Mnie samemu jest dziwno, że mogłem tak... tak przywiązać się do obcego człowieka i jeszcze cudzoziemca; ale gdy pomyślę, że go już więcej nie zobaczę, to mi się na płacz zbiera. Bo czy nie prawda, panie, jaki on jest dobry! Interesuje się wszystkim co mnie obchodzi. Wypytuje się o naszą wioskę, o interesy, o babunię Kasię, o Marysię...

— A babunia, czy nigdy nie wyraziła życzenia poznania sir Edwarda?

— Nie powiedziała tego ani razu, ale widocznie spodziewa się jego odwiedzin, bo ile razy kto drzwi otworzy, zrywa się jakby kogoś oczekiwała, czy obawiała się czego. Gdy wróciliśmy od Morskiego Oka, musiałem jej szczegółowo opowiedzieć nasze przygody, a każde słowo sir Edwarda kazała sobie po kilka razy powtarzać. A potem...

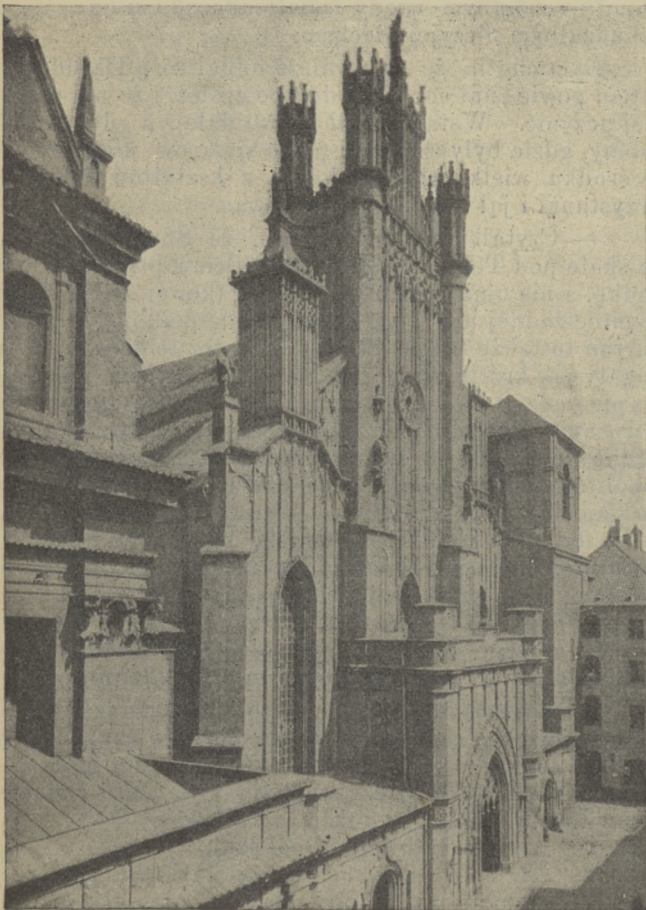
— Cóż było potem?

— Potem modliła się długo i... widziałem że płakała. Babunia jest jakaś niezdrowa: chciałem właśnie dziś iść do pana i prosić, aby ją pan odwiedził. Złe sypia w nocy, zamyśla się często tak, że nie słyszy co się do niej mówi, jest jakaś niespokojna, zdenerwowana i zdaje mi się nawet że zмирniała.

— Dobrze: dziś będę u was, i zobaczę zarazem jak się ma twoja siostrzyczka. A ciebie co dziś skłoniło do spaceru w Strażyskach?

— Mówili mi pasterze, że widzieli tu różę bez kolców.

*Do art. „Wakacje w Warszawie.”*



Katedra św. Jana.

— Chciałeś więc ją zdobyć dla sir Edwarda, zanim wyjedziesz z Zakopanego.

— Tak jest — odrzekł z westchnieniem.

— Szukaj więc, pomogę ci.

— Dziękuję panu — odrzekł z pewnym wahaniem — ale to już niepotrzebne. Znalazłem ją.

Doktor spojrział na chłopca zdumiony.

(d. c. n.)



## ZE ŚWIATA.

Poświęcenie nowego Nazaretu. — Święto rolników w Chinach. — Znikające jezioro.

W dzień św. Antoniego d. 13 czerwca, w asystencji liczego kleru dokonał J. E. ks. Arcybiskup warszawski w obec hr. Feliksostwa Sobańskich, liczego grona opiekunów i dobroczyńców zakładu, uroczystego poświęcenia nowego pawilonu, zakładu Schronienia dla Paralityków przy ulicy Nowowiejskiej N. 32, jako też nowego Nazaretu dla chłopców.

Akt uroczysty rozpoczął się w kaplicy, skąd po odśpiewaniu przez dziatwę „Veni Creator” obchodził J. E. ks. Arcypasterz salę Schroniska z wodą święconą; następnie hr. Feliks Sobański wręczył głównemu opiekunowi Nazaretu ks. Brzeziewiczowi klucz srebrny do otwarcia podwoi zakładu, a który następnie oddano arcybiskupowi i arcybiskupowi pierwszy drzwi otworzywszy, wszedł do gmachu. Tutaj w sali parterowej po modlitwie, przy ustawionym prowizorycznie ołtarzu, opowiedział ks. proboszcz Brzeziewicz historię powstania zakładu. Zapoczątkował go ks. Alojzy Volkmer, wikaryusz kościoła św. Aleksandra w 1897 roku. W wynajętym przy ulicy Mokotowskiej N. 41 budynku, utworzył salę zajęć dla 50 chłopców, oddawszy ją pod protektorat Warsz. Tow. Dobr., które w rok później utworzyło tak zw. piątą salę zajęć św. Antoniego.

Po przeniesieniu ks. Volkmera na probostwo do Konstantynowa, gorąco zaopiekował się salą ks. prefekt Stefański, któremu udało się zjednać dla instytucji pomoc różnych protektorów, państwa Feliksa i Emilii Sobańskich, ci przyrzekli wystawić i ofiarować nowy gmach a nadto utworzyć w nim internat.

Dzięki ich ofiarności, z ciasnego, wynajmowanego mieszkania, przeniosła się dziś dziatwa do nowego, trzypiętrowego domu, wybudowanego na tej samej posesyi co Schronienie dla nieuleczalnych.

„Nazaret” liczy obecnie 120 chłopców od lat 7 do 12, przychodnich, z tej liczby około 80 otrzymuje całodzienne utrzymanie, a czterech pozostaje na stałe jako pensjonarze. Brak środków nie pozwala na powiększenie liczby pensjonarzy.

Praca chłopców ogranicza się do wyrobów ze słomy (kapeluszy, plecionek) z drzewa (ślójd) i plecionek nicianych i sznurkowych. Przedmioty galanteryjne z drzewa, ło użytku kuchennego oraz koszyki i torebki z nici i szpagatu są bardzo dokładnie wykonane.

Wyroby te jako bardzo tanie polecamy publiczności, gdyż z tego źródła sala zajęć może pozyskać poważny zasilek.

Piękna uroczystość zakończyła się wypowiedzeniem rzewnego wiersza, przez jednego z chłopców 10 letniego Stasia, który w serdecznych słowach dziękował arcybiskupowi, hr. Sobańskiemu i wszystkim opiekunom za opiekę i naukę, jaką tu otrzymywać mają, a która im dopomoże do wykierowania się na zacnych i porządnym ludzi.

Chińczycy mają pewien bardzo ładny obrządek. Jest to przypadające na wiosnę „święto rolników.” W pierwszych dniach marca wybiera cesarz kilku dygnitarzy, którym poleca udać się do sali przodków, paść przed ich portretami i oświadczyć im, iż cesarz w dniu następnym zamierza złożyć dary wiośnie. W tym celu wybieranych jest 80 szanowanych starców, rolników, którzy muszą towarzyszyć otwarciu uprawy ziemi przez cesarza; oprócz nich towarzyszy ceremonii tyluż młodych chłopców do prowadzenia pług, zaprzęgnięcia wołów i przygotowania pięciu gatunków ziarna, które na drugi dzień rozsiewają mandaryni. Z wielką paradą udaje się dnia następnego cesarz, otoczony rodziną, dworem, licznymi mandarynami, uczonymi i wojskowymi, na pole przeznaczone do ceremonii. Cesarz wstępuje na pole, sam pada na kolana i dziewięćkrotnie uderza czołem o ziemię, dla oddania czci Bogu nieba, Chang-Ti lub Tien. Głośno odmawia odpowiednią modlitwę; następnie, jako najwyższy duchowny, składa na ofiarę wołu, aby uprosić boga nieba o błogosławieństwo urodzajów. Kiedy woł ofiarny pali się na stosie całopalnyn, cesarz wsiada na drugi wózek, zaprzężony w bogato przybrane woły, zdejmując wierzchnie kosztowne ubranie i zaczyna sypać na pole ziarna pszenicy, ryżu, prosa, bobu, które najwyżsi urzędnicy podają w pięknych wazach. Ceremonia kończy się rozdaniem nagród pieniężnych stu wezwanym robotnikom. Oprócz tego ci, co grunt swój, liczący 70 morgów, uczynili urodzajnym, otrzymują tytuł mandarynów ósmej klasy. Takie ceremonie odbywają się we wszystkich stolicach Chin, gdzie znów przewodniczą wicekrólowie.

Nic ciekawszego, jako zjawisko natury, nad jezioro znikające w Krainie, w Austrii, zwane cyrknickiem. Ma ono 8 kilometrów długości i 4 szerokości. Niedaleko od brzegu można zauważyć dwa ciemne punkta w skale, leżące tuż pod powierzchnią wody. Są to otwory, przez które odbywa się zwykły odpływ wód. W chwili, gdy to ma nastąpić, głuchy szum, podobny do oddalonego grzmotu, daje się słyszeć w głębi tych otworów. Woda niemi ucieka z taką szybkością, iż w 48 godzin w łożysku jeziora nie pozostaje z niej ani śladu. Przy pierwszych objawach niepokojących ptactwo wodne podnosi się stadami i znika w oddali. Jak tylko woda spłynie, mieszkańcy okoliczni zbierają pozostałe na dnie jeziora ryby. W ciągu sześciu

tygodni łożysko jeziora pokrywa się trawą, a gdy kosa zeźmie siano, zaczynają po żyznej przestrzeni chodzić pługi. Rolę odpowiednio przygotowaną zasiewają jęczmieniem lub prosem. Niekiedy woda zjawia się, nim kłosa dojrzeją. siejba więc połączona jest z pewnym ryzykiem, najczęściej jednak rolnik zboże spokojnie zbiera. Pierwszy wiatr, który powieje po ściernisku, zmienia się w burzę. Niebo pokrywa się czarnymi obłokami, pioruny huczą w powietrzu. Wody, pochłonięte przed kilku tygodniami przez ziemię, pojawiają się znów gwałtownie przez dwa otwory przybrzeżne i 18 szczelin na dnie jeziora. Po kilku godzinach tam, gdzie w przeddzień siano i orano, drzemie ciche jezioro. Ptactwo wodne powraca. Dotychczas geolodzy nie zdołali wytłumaczyć zagadki jeziora cyrknickiego.

Do art. „Wakacje w Warszawie.”

## Dzienniczek Wańdzy

(Dalszy ciąg)



Presbyterium w Katedrze św. Jana.

Mówiła mamusia, że swego czasu, gdy wychodziła za mąż za tatusia, pewna zacna starszuszka, siostra generała Mirosławskiego, która spędziła młodość i życie całe we Francji zapewniała, iż od Francuzów doznała tyle prawdziwej przyjaźni, tyle serca i rodzinnego ciepła, jak gdyby oni byli nie tylko rodacy ale najbliżsi krewni. To też powtarzała często: nie dziwię się, moi drodzy, przywiązaniu, które mam do Francji, ale znalazłam w niej serca szlachetne, które przygarnęły obcą do siebie i słodziły mi lata życia na obczyźnie. Słyszałam nieraz mówiącą ją w ten sposób, ale będąc jeszcze bardzo małą, nie rozumiałam tych słów, teraz jednak, gdy sami doznajemy tyle dobrego od Francuzów, muszę przyznać, jak zacna miała duszę ta dobra babunia, tyle wdzięczności przechowując dla nich, aż w najpóźniejsze lata.

Mamusia *à propos* wdzięczności opowiadała mi śliczną

legendę, słyszaną jeszcze od swego ojca: Pan Bóg pewnego razu wydawał bal w niebie dla wszystkich cnót. Tańczyły więc z sobą i gwarzyły mile: dobroć z odwagą, szczodroblowość z pokorą, miłość z pobożnością. Dwie tylko cnoty nie zbliżyły się do siebie wcale i zachowywały się względem siebie jak zupełnie obce. Były to dobroczynność i wdzięczność. Zdziwiony tem Pan Bóg zbliżył się kolejno do obydwóch, zapytując, czyżby się wcale znać nie miały. Odebrał na to od cnót odpowiedź, że się nigdy w świecie nie spotkały na jednej drodze.

Widać jednak, że są wyjątki, szlachetniejsze natury odczuwają, gdy im się okazuje serce w jakikolwiek sposób, tak przynajmniej twierdzą rodzice.

Mamusia przed chwilą odeszła na górę do pp. Péllacot, a ja z ojczuszką zostałam sama, aby móżdż pisać dzienniczek, który przez cały tydzień był zaniedbany. Ojczuszek siedzi pochylony nad tym samym stołem, robi notatki w papierach wojskowych. Podniosłszy oczy, widzę jego pochyloną głowę, czarne włosy, kawałek białego, wysokiego czoła. Mój ojczuszek najdroższy, mój ojczuszek

jedyny, ja go tak bardzo kocham! Nie rozumiem córek, które dorosły, opuszczają swoich rodziców, aby wyjść za mąż. Ja, zawsze, zawsze zostanę przy rodzicach, a jak ojczuszek się zestarzeje, to będziemy wspólnie pisali historię wszystkich kampanii, w których brał udział; będę mu robiła potrzebne do tego wyciągi, przepisywała, aby sobie jaknajwięcej wzroku oszczędził, bo ojczuszek nieraz na oczy zapada. Tak razem, zawsze będziemy razem! W tej chwili zamyśliłam się o tych moich projektach i nie zauważyłam wcale, że ojczuszek przypatruje mi się, aż wreszcie zapytał:

— O czym dumasz, moja mądra głowo?

Rzuciwszy pióro, podeszłam do ojca. Wziął mnie na kolana, co robimy czasem tylko, gdy mamusia nie widzi, bo gniewa się, że ojczulek mnie rozpieszczą, bojąc się, abym nie wyrosła na zepsutą jedynaczkę. Ponieważ jednak byliśmy sami, usadowiłam się ojcemu na kolanach, objęłam go za szyję i mówiłam mu o tych wszystkich projektach i marzeniach, które mu się bardzo podobały, ale jest w obawie, abym dorosły nie zmieniła zdania i dodał smutnie moga starości wcale nie doczekać, tylko zginąć w jakiej wojnie.

Odpowiedziałam mu, że mnie to wcale nie przestrasza, bo w razie wybuchnięcia wojny, ojcemu iść na nią nie pozwolę.

— To moja córka chciałaby mieć ojca tchórza.

Zrozumiałam, że wojskowy nie może podczas wojny siedzieć, jak to mówią, pod piecem, więc poprawiłam się

— No dobrze! to już pozwolę, ale modliłabym się tak szczerze do Matki Boskiej Częstochowskiej, tak bym ojczuska pod Jej specjalną opiekę oddała, że nie miałyby serca mi odmówić i chociażby całe pułki wyginęły, ty ojczusku, powróciłbyś szczęśliwie do nas. Rozmawiałam w ten sposób długo jeszcze, pieścąc i całując, aż zsunął mi ojczuszek z kolan mówiąc:

— Ale wiesz, Wanduś, tyś ciężka.

Wybuchliśmy oboje śmiechem, poczem każde z nas powróciło do swoich zajęć; raz po raz tylko podnosiłam z uśmiechem na ojca oczy, ale nie rozmawialiśmy już więcej. Z powodu tych przerw nie napisałam jeszcze, jak było z przyjazdem tutaj. Kochany Colombo, który popłynął z powrotem do Francji, stanął w Haiphong 8-go wieczorem, ale ponieważ było późno i szalupa jeszcze nie nadeszła, radzi nie radzi musieliśmy tę ostatnią noc spędzić na statku.

O spaniu jednak, z powodu panującego hałasu nie było mowy. Statki do wyładowywania towarów i rzeczy stały obok, czekając rana, na nich jak mrowie leżeli Anamici, których księżyc, świecący jasno, pozwalał widzieć wyraźnie. Młodzi oficerowie z żartów zaczęli ich budzić, rzucając im, co który miał, najrozmaitsze przedmioty. Pobudzili wszystkich, zaczęli śpiewać, wołać o papierosy, które im po sznurku na dół spuszczano obok innych rzeczy z garderoby. Anamici wybuchali śmiechem, witali każdy spuszczonego przedmiot, i żarty te trwały prawie do samego rana t. j. do chwili, kiedy dzień się zrobił i zaczęto pracować. Maszyny huczały, a kufry wyciągano z samego spodu okrętu. Co za nieład na tych statkach, nie można mieć nawet pojęcia. Trzeba było szukać całą godzinę, a pp. Pellacot znaleźli swoje rzeczy po wielu poszukiwaniach pomiędzy worami z mąką; a to wszystko dla tego, że na statkach nie wydają kwitów, jak na kolejach, tylko każdy musi mieć staranie o swoich pakunkach.

Wszystko to trwało od 5-jej rano do 11-jej w południe; przez ten czas nadpłynął mały parowiec, do którego wsiadło 300-stu żołnierzy, pp. Pellacot, my, kapitan, pan de Récoblanc, aby udać się do Hanoi rzeką Czerwoną.

Podróż trwała dość długo, bo prawie 24 godzin, ale było bardzo przyjemnie, zwłaszcza z powodu ciszy, jaka tu panowała, a której byliśmy spragnieni, po straszonym gwarze i hałasie, który w ostatnim czasie panował na Colombi. Stateczek ten był mały, ładnie urządzone, salonik

z dziennikami do czytania, na pokładzie galeryjka, gdzie pożądaną chłód panował, tam wygodne fotele, w których siedząc, można było się rozkoszować chłodem i cudownym widokiem.

Cały brzeg rzeki Czerwonej usiany osadami, umajony palmami, bambusami, kokosami. Pola ryżowe, jak zielone kobierce, rozścielały się u stóp naszych. Okolica osiadła, wszędzie ludno bardzo i znać pracę i rękę ludzką. Spotkaliśmy kilkakrotnie pływające osady, dużo tratw razem złączonych, a na nich domki, w których mieści się nieraz po kilka rodzin ubogich. Wieczorem, siedząc na pokładzie, podziwialiśmy przy świetle księżyca cichy, uśpiony, bogaty w malowniczość krajobraz Azji południowej. Byliśmy sami we trójkę, więc mamusia zaczęła półgłosem deklamować sonet krymski Mickiewicza p. t. Pielgrzym:

U stóp moich kraina dostatków i krasy,  
Nad głową niebo jasne, obok piękne lice;  
Dlaczegoż stąd ucieka serce w okolice  
Dalekie, i niestety! jeszcze dalsze czasy?

Litwo! piał mi wdzięczniej twe szumiące lasy,  
Niż słowika Bajdaru, Salhiry, dziewice,  
I weselszy deptałem twoje trzęsawice  
Niż rubinowe morwy, złote ananasy.

Tu mamusia przerwała i rozplakała się, wspomniawszy zapewne kraj, naszą rodzinę, wszystkich naszych ukończonych i porównywała bogactw, ale dla naszego serca nie mówiącą roślinność, do naszych polskich, pszenicznych łąków, pełnych modrych bławatków i czerwonych maków, które tam w tej porze są najpiękniejsze i naszemu oku najmiłsze.

(d. c. n.)

## WAKACYE W WARSZAWIE.

POGADANKI O ARCHITEKTURZE

przez

Waleryę Marrené - Morzkowską.

(Dalszy ciąg).

### II.

Nazajutrz dzieci obudziły się rano i zaraz spojrzały w okno. Dzień był słiczny, słońce świeciło na niebie bez chmury. Pomyślały jednak naprzód, jak dziadzio noc tę spędził. Pani Jaczyńska przysłała wiadomość, że choremu było trochę lepiej, więc dzieci z lekiem sercem wybierać się zaczęły. Pierwszy spacer zapowiadał się bardzo przyjemnie. Dzieci były ciekawe gdzie też ich ojciec zaprowadzi, ale powiedzieć im tego nie chciał. Mieszkali przy Długiej ulicy.

— Jak myślisz, czy pójdziemy na prawo czy na lewo — spytał po cichu Tadzio Halinki?

— Na prawo — odparła rezolutnie siostra.

Rzeczywiście pan Jaczyński skierował się na prawo.

— Skąd ty to wiedziałas — zawołał zdziwiony Tadzio.

— Domyśliłam się — odparła z dumną miną. A potem dodała: — Kto wie, ja może nawet domyślałam się, gdzie nas ojciec zaprowadzi.

— Powiedz! powiedz — błagał brat po cichu.

— Pokaże nam naprzód to, na cośmy patrzeć nie umieli! Zobaczysz.

Halinka dobrze odgadła, ojciec prowadził ich przez Stare Miasto na ulicę Ś-to Jańską, przed katedrę.

Tutaj zatrzymał się na przeciwnym chodniku, mówiąc:

— No, przypatrzcie się teraz, mówcie mi co was uderza. A najprzód ściana z głównym wejściem do każdego gmachu zowie się fasadą albo frontonem.

— To też jakby po francusku — zauważyła Halinka.

— Niestety, na wiele rzeczy dotąd nazw swojskich nie mamy. Pierwsi budowniczowie u nas byli cudzoziemcy, nie dziw więc, że nadali obce nazwy rozmaitym częściom budowli. Otóż przypatrzcie się tej fasadzie, przyczem zauważcie jakie tu są drzwi i okna.

— Proszę taty, główne drzwi zakończone są śpiczasto — zauważył Tadzio — chociaż się niby zaokrąglają.

— Okna także — dodała Halinka — a jakie one wysokie a wąskie, tylko na środku ku górze jest jedno okrągłe, złożone z różnych cząstek, tak ładnie powycinanych.

— A jakie wąziutkie słupki biegną ku górze całej fasady — dodał Tadzio.

— Zakończają je kanciaste wieżyczki, na niektórych sterczą ostre kolce, a na innych posągi świętych.

— Otóż teraz — wyrzekł pan Jaczyński — możnaby już mieć jakieś wyobrażenie o fasadzie katedry. Zauważyliście drzwi i okna, u góry zakończone śpiczasto, choć się niby zaokrąglają, taki kształt zwany jest ostrołukiem i ta nazwa określa go doskonale, bo mówi i o śpiczastem zakończeniu i o łuku. A takie okrągłe, z wycinków złożone okno, zowie się różycą. Będziecie to pamiętali?

— Wcale nie trudne — zawołała Halinka, — fasada, ostrołuk. Różycą, to coś jakby od róży.

— A ja wziąłem karnet i zapiszę — wyrzekł Tadzio, dobywając go tymczasem z kieszonki.

— Masz słusność — odrzekł ojciec — na pamięć nie zawsze spuszczać się można, często zawodzi.

— O, co ja, to będę pamiętała — wtrąciła Halinka. — Panna Janina zawsze chwali moją pamięć.

— A jak się nazywają te wszystkie słupki co wzdłuż przecinają fasadę — pytał Tadzio.

— To laskowania, wieżyczki zowią się sterczynami.

— Prawda, bo one tak sterczą.

— A kolce na nich to iglice.

— Iglice, igielki, igliczki! — wołała Halinka, uszczęśliwiona z nazw, które przypominały jej znane przedmioty.

Tadzio je zapisywał sumiennie, z wielką powagą.

— Teraz, kiedyście się dobrze napatrzyli fasadzie katedry...

— O tatku, nietylko patrzyliśmy ale i zobaczyliśmy — zaśmiały się dzieci.

— Więc kiedyście zobaczyły fasadę katedry, porównajcie ją z budynkiem który znacie dobrze, naprzykład z teatrem. Czy zachodzi między nimi jakieś podobieństwo?

— Gdzież tam, niema żadnego.

— Macie słusność. Takie zasadnicze różnice, które muszą uderzyć najmniej wprawne oko, oznaczają, że te budynki są stawiane w różnych stylach. Jest to także wyraz, którego nie znacie.

— Przepraszam ojca — odezwała się po namyśle Halinka — ja go już nieraz słyszałam. Kiedy wujaszek się żenił, mówił, że urządza mieszkanie stylowo; pani Bajeczka zawsze opowiada o stylowych toaletach. Ja chciałam się kiedyś spytać co ten wyraz znaczy, ale potem zapomniałam. Cóż to jest ten styl?

— Krótko mówiąc, w sztuce nazywa się stylem pewien sposób, właściwy danej epoce, a który rozciąga się do budowli, strojów i przedmiotów powszednich, otóż w budownictwie styl naszej katedry nazywa się gotyckim. Niektórzy styl gotycki nazywają ostrołukowym, ale ostrołuki spotkać można i w innych stylach, Anglicy nazywają go wprost stylem śpiczastym.

— A w jakich stylach są jeszcze ostrołuki?

— Zobaczymy to później i ocenimy przez porównanie. Teraz zapamiętajcie, że charakterystycznymi znamionami stylu gotyckiego jest ostrołuk, różycą, złożona z wycinków

ostro zakończonych, laskowania podłużne, sterczyny, iglice, co wszystko razem nadaje całej budowli coś strzelistego, coś lotnego, niszczy wrazenie ciężkich murów. Stanowi to właściwość gotyku i do tego dążyli usilnie budowniczowie, którzy je stawiali.

— Proszę ojca, a jakie są inne style?

— O, jaka Halinka ciekawa — uśmiechnął się ojciec — poczekajcie, wakacje długie, jeszcze niejedno mamy do obejrzenia, a jak się za dużo na raz słyszy, to się łatwo zapomina, nawet przy najlepszej pamięci. Oto lepiej przypatrzmy się jeszcze tej fasadzie, znajdziecie w niej pewno różne szczegóły, które zrazu uszły waszej uwagi.

Dzieci zwróciły znów oczy na piękny gmach, jaki miały przed oczyma.

— Proszę ojca — zawołał Tadzio — są jeszcze słupy przypierające do murów, po dwóch stronach drzwi głównych i dwa niższe przy rogach fasady, zakończone wieżyczkami.

— Takie słupy zowią się przypasy, bo zadaniem ich jest wzmocnienie murów, do których przypierają; obchodząc kościół zobaczycie jeszcze przystawiane w odstępach odpowiednich.

— To chodźmy zobaczyć.

Poszli na Kanonią i oglądali przypory, boczne drzwi i różne szczegóły.

— Patrz, patrz ojczu, co to jest? — zawołała nagle Halinka, podnosząc ciekawy nosek do góry — jakiś most wiszący, czy co?

— To przejście do łoża w katedrze.

— Do łoża! — zawołała Halinka — alboż to w kościele są łoża?

— Byłaś tyle razy w katedrze, a przecież nie zauważyłaś łoża po lewej stronie, patrząc od wielkiego ołtarza.

— Ja myślałam, że łoża są tylko w teatrze.

— Łożą w budownictwie zowie się wystające okno. Takie okno znajduje się w katedrze.

— Tatku — wtrącił Tadzio — ja w różnych nowych domach takie wystające okna widziałem.

— Tak, tak — dodała Halinka — jest takie na rogu Marszałkowskiej i Ś-to Krzyskiej ulicy, naprzeciwko mieszkania pani Wilskiej, a ja zawsze myślałam, będąc u niej, że ten mały oszklony pokój musi być bardzo ładny i że-bym taki mieć chciała.

— Taki wystający oszklony pokój nazywa się łoża a po polsku wykusz. Budowano je u nas oddawna, pokażę wam takie na Starem Mieście na rogu Wąskiego Dunaju, ale wyraz łoża stosowniejszy od wykuszu w miejscu zamkniętym jak kościół. Otóż te łoża i przejście do niej, które Halinka nazwała mostem wiszącym, kazała zbudować Anna Jagiellonka. Słuchała tu codziennie nabożeństwa, Zygmunt III także codziennie przychodził tu na Mszę św.

— Pójdźmy zobaczyć tę łożę — prosiły dzieci.

— Naturalnie, pójdziemy. Tylko zanim zaczniemy oglądać wnętrze katedry i my także wysłuchajmy Mszy i pomódlmy się za zdrowie dziadzi.

Właśnie kiedy wchodzili, odezwał się dzwonek i ksiądz wyszedł ze Mszą, do kaplicy cudownego Pana Jezusa, więc poszli za nim.

(d. c. n.)



## Nasze konkursy II-go półrocza.

Korzystając z nadejścia pory wakacyjnej, ogłaszamy zwyczajem dorocznym dwa konkursy z nagrodami:

**I. Konkurs na wypracowanie** dla wszystkich czytelników i czytelniczek „Wieczorów Rodzinnych” do lat 15 włącznie. Dajemy do wyboru następujące temata:



1) Na załączonej rycinie widzimy chłopca (albo dziewczynkę) nagle ze snu zbudzonego. Na twarzy jego widnieją przestraszony, czy słuszny, czy urojony — nie wiemy, niech rozstrzygną to ci, którzy ten temat wybiorą i napiszą **powiastkę** własnego układu na tle tej ryciny, liczącą od 500 do 900 najwięcej wyrazów.

2) Któż z nas nie lubi niedzieli i świąt i nie wita ich z radością i wzruszeniem? Nie wątpimy, że podzielacie te uczucia i oczekujecie z upragnieniem dni wolnych od lekcji i pracy, które po nabożeństwie możecie poświęcić ulubionym zajęciom i rozrywkom. A więc opiszcie, **jaki jest najlepszy i najprzyjemniejszy sposób spędzenia**

**dnia świątecznego.** Wypracowanie powinno liczyć od 400 do 800 wyrazów.

Za najlepsze z przysłanych powiastek lub wypracowań przyznamy **sześć nagród**, a mianowicie jedną z następujących książek: „**Jak się dusza budziła u Józki**,” opowiadanie Zofii Bukowieckiej, „**Młodzi żeglarze**” pow. Mayne-Reyda, „**Dzieci w dawnych czasach**” przez Władysława Bełzę i „**Dwie siostry**” M. J. Zaleskiej do wyboru.

Przy ocenianiu prac konkursowych będziemy mieli na względzie nie tylko treść lecz zarówno styl i poprawność języka. Nie mamy nic przeciwko zasięgnięciu rad przy obmyśleniu wypracowania, ale prosimy, aby były pisane bez pomocy i poprawek starszych, przytem wyraźnie i porządkie na jednej stronie kartki. Najlepszą powiastkę i wypracowanie mamy zamiar wydrukować w „**Wieczorach**.”

**Termin nadsyłania prac 1-szy września r. b.**

**II. Konkurs na roboty ręczne dla pańienek,** Jak zwykle w konkursie tym nie idzie nam o jakieś wyszukane prace, lecz o najprostsze i najwzyczajniejsze, które nie powinny być obce żadnej kobiecie. Ze względu zaś, że plon tego konkursu rozdamy przed świętami Bożego Narodzenia biednej dziatwie ze Szpitalika, Towarzystwu Rozdawnictwa Odzieży, ochronkom i znanym Redakcyi uboższym dzieciom, roboty winny być zastosowane do ich potrzeb, a zatem ogłaszamy konkurs przeważnie na trzy rodzaje robót:

- a) **Bieliznę dziecięcą.**
- b) **Sukienki i ubranka.**
- c) **Roboty włóczkowe** (kaftaniki, spódniczki i t. p.

Nadto biegłejsze i wprawnejsze pańienki mogą także przysłać na konkurs próbki swej umiętności w wykonywaniu trudniejszych i zbyt kowniejszych robótek, jako to — **haftów, koronek, wyszywania** i t. p.

Za najlepsze roboty, oprócz **kalendarzyków pamiątkowych na rok 1902**, Redakcyja udzieli pewną ilość **nagród w książkach.**

Przy skrajaniu pomoc starszych jest dozwolona. **Termin nadsyłania robót ręcznych — 1 października r. b.**

**Warunki, dotyczące się obu konkursów:**

Przy każdym wypracowaniu należy podać: *imię, nazwisko, wiek*, (rok 10-ty, 11-ty i t. d.) *dokładny adres*. Te same wiadomości należy wypisać na kartkach i przyszyć je do każdej sztuki roboty, choćby od jednej pochodzącej osoby. Kto w sprawozdaniu nie chce być ogłoszony z nazwiska, niech doda *pseudonym*.

Na kopertach z wypracowaniami trzeba notować z boku: *wypracowanie* i do tych kopert żadnych listów z żądaniami lub zapytaniami nie dołączać, gdyż otwarte będą dopiero po 1-ym wrześniu. Listy niedostatecznie frankowane przyjmowane nie będą.

Z powodu trudności przy odbieraniu posyłek zagranicznych, prosimy czytelniczki nasze, mieszkające za granicą, aby roboty ręczne na konkurs przysyłały tylko przez okazję, wypracowania mogą być wysyłane pocztą.

*Adres: Warszawa, Mazowiecka 10, „Wieczory Rodzinne.”*

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

**TREŚĆ:** Cztery pory dnia. Noc, wiersz przez Józefa Jankowskiego (z ryc.) — Upał, pogadanka na dobie przez W. R. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej przez Zofię Urbanowską. — Ze świata (z ryc.) — Dzienniczek Wandy. — Wakacje w Warszawie, pogadanka o architekturze przez Waleryę Marrené-Morzowską. (z ryc.) — Nasze konkursy II-go półrocza (z ryc.) — Dodatek: Olbrzymi latawiec (z ryc.) — Wicher przez Maryę Weryho. — Dzieci w podróży. — Sen Zosi, obrazek sceniczny w trzech odsłonach. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Dzieciństwo Karola Wielkiego, powieść historyczna z IX-go wieku, Karola Deslys, przekład z francuskiego M. K.



## OLBRZYMI LATAWIEC.

— Mości panowie — do swoich gości  
Z poważną miną Bolek powiada —  
Aby dzień waszej uczyć bytności,  
Przygotowałem gratkę nielada.

Przez dwa dni całe, z przerwami, na to  
By tylko obiad zjeść i śniadanie,  
Jam wciąż pracowałem, lecz dziś zapląta  
Będzie mi wasze szczerze uznanie.

Przez dwa dni całe — w szopie, gdzie siano,  
Wciąż pracowałem z Walka pomocą,  
I gdyby spać mi pójść nie kazano,  
Tobym napewno pracował nocą.

Ciałem, kleiłem i malowałem,  
Wiązałem sznurki w tę, ową stronę,  
Aż wreszcie mogę z wylaniem całem  
Oddać wam dzisiaj dzieło skończone.

Patrzcie! i sami powiedzcie przecie,  
Czy kto takiego widział latawca?  
Radość i krzyki: — Nie, nigdy w świecie!  
Wiwat! niech żyje ofiarodawca!

— Trzeba go puścić! hej, naprzód, prędzej!  
Pewnie pod same wzleci obłoki...  
Cała gromada na łąkę pędzi,  
Ucieszne w biegu wyprawia skoki.

*(Przypisek Redakcyi).*

By się latawca tego puszczenie  
Udało świetnie, życzymy szczerze,  
Lecz, że bez wiatru to się nie stanie,  
Więc go dajemy choć na papierze.



## WICHER.

Strasznie się rozdokazywał wicher. Drzewa w lesie z początku pobłażliwie go znosiły, ale w końcu, gdy wicher przebrał miarę, zaczęły się niecierpliwic. Dąb zaczął go twardemi swemi liśmi odpychać, świerk nasrożył się surowo, osina szeptała mu, żeby już dał pokój — ale wicher nie przestawał.

— Patrz — powiada do sroki — widzisz, jak ja sobie z nikogo nic nie robię! — i pchnął brzozę tak gwałtownie, że o mało się nie przełamała.

Nareszcie do tego stopnia wszystkim nadokuczał, że po całym lesie słychać było narzekanie, drzewa rozgniewały się nie na żarty i poczęły szumieć — w końcu wicher się złąkł i uciekł w pole.

Po drodze dmuchnął na srokę tak, że o mało nie spadła z drzewa.

— Nie zaczepiaj mnie, stary — powiada ptak — bo będzie kwita z naszej przyjaźni.

— Ja tylko żartowałem, kuzyneczko, chciałem ci w locie dopomódz. Jak nie chcesz, to nie będę!

I poleciał. Po drodze kwiatom główki zrywał, owies przygiął aż do ziemi, siano porozrzucał, zajęcia wypłoszył z miedzy... Potem obejrzał się w około. W słońcu stoi mlecz przekwitły, siwą, puszystą głowę trzyma prosto, ani drgnie. Wicher nie lubi długo się namyślać: dmuchnął w piękną, lśniąca kulę i puszek porozlatywał się

na wszystkie strony. Wesoły wicher poleciał dalej — do wioski.

Na dachu znowu spotkał srokę.

— Oj, figlarz z ciebie — powiada sroka — widziałam, co za awantury wyrabiałeś w polu!

— Za to teraz odpocznę choćby tu na dachu.

-- Powiedz mi, przyjacielu, dlaczego tak wciąż broisz? — pyta sroka.

— Dlaczego? dlatego, że w jednym miejscu mi za chłodno, a w drugim za ciepło, zresztą sprawia mi to przyjemność — odpowiada wicher.

— A czy nie uważałeś, że tem wielką krzywdę wyządzasz wszystkim.

— Co prawda, nie zastanawiałem się nad tem. Ale co mi tam po twoich morałach! Patrz lepiej, Bartek do miasteczka idzie, trzeba się do niego zabrać!

Zsunął się wicher z dachu, jednym zamachem czapkę chłopcu porwał.

Goni biedny Bartek czapkę, zmęczył się, zasapał, zaledwie ją pochwycił!

Teraz wicher do kapoty się zabrał, podnosi poły do góry, parę guzików nawet rozpiął. Co Bartek przytrzyma sukmanę, to mu wicher znów czapkę zrywa. Chłop niemało się namordował, ale nie ustąpił.

— Czekał-no — pomyślał wicher — ja ci pokażę, jak ze mną walczyć! — I nuż od przodu dmuchać, a tak mocno, że o mało nie obalił chłopca.

— Poleciał wicher do sroki i woła:

— Patrz-no, kumo, teraz najciekawsza chwila nastąpi, zaraz Bartek na ziemi leżeć będzie!

Odwraca się wicher czempredzej, a tu chłopca ani śladu. Pędzi naprzód — niema.

— Co się stało? Tylko na chwilę odleciał i zgubił chłopca. Pędzi w jedną stronę, pędzi w drugą — nigdzie nie widać.

Zawstydził się okrutnie wicher, szczególnie przykro mu było, że sroka, siedząc na drzewie, śmiała się z niego do rozpuku. Uciekł więc jaknajprędzej w szczyliny gór i tam już został.

A Bartek ukrył się w wąwozie i czekał, nim się wicher uspokoił, a teraz wyszedł i spokojnie idzie swoją drogą.

*Marya Weryho.*

## DZIECI W PODRÓŻY.

(Dalszy ciąg).

W dole miasto otoczone zielonemi „Błoniami” przez które przepływa Rudawa; liczne wieże kościołów — a dalej poza miastem rozciąga się nieprzejrzana płaszczyna, tonąca w mgle szarawej. W tamtej stronie leży granica — jak objaśnia Tadzio — gdzie w tej chwili sunący pociąg, podobny do długiego, czarnego węża, z którego głowy buchają kłęby sinego dymu.

— To z Warszawy jedzie ten pociąg! — wołają dzieci z radością, bo taka już jest ludzka natura, że zawsze miłe nam to, co z domu pochodzi.

A chociaż dopiero trzy dni upłynęło od wyjazdu z Warszawy, dzieciom wydaje się, że to już bardzo dawno, tyle nowych obrazów przesunęło się przed ich oczyma — tyle nowych wrażeń napłynęło do duszy.

### VII. Powrót do miasta.

Sprawdziły się tym razem obawy stryjenki Nałęczowej: czarne chmury, gromadzące się na niebie z wielką szybkością, zapowiadały burzę, więc całe towarzystwo zaczęło pospiesznie schodzić na dół, by zdążyć do Krakowa przed ulewą. Państwo Nałęczowie i Korwinowie nie zdradzali obawy, ale nieszczęśliwa stryjenka i jej dziewczynki, drżały ze strachu, oglądając się co chwila na niebo. Gdy zaś przyszło siadać do powozu, Wańdzia zawołała z rozpaczą:

— Mamo! spotka nas pewnie nieszczęście, u naszego powozu są białe konie!

Zdziwiony tem pan Korwin: odpowiedział, jeśli panie obawiają się białych koni, proszę wziąć powóz z gniadymi — i jego ofiara została pozyjęta z radością. — Lecz na tem nie koniec, pomimo przekładań obu mam, stryjenka nie chciała słuchać o jeździe, dopóki nie podniesiono budy i nie pozaryniano okien. I wtedy dopiero uważała się za zabezpieczoną choć trochę od piorunów.

— Dla czego ma się trafić komu coś złego, jeśli jedzie białymi końmi? — zagadnęła Helenka, wsiadając do powozu.

— Tego ci nie umiem powiedzieć dla czego? — odparł śmiejąc się pan Korwin. — zapytaj o to lepiej Wańdzi... Ale żart na stronę, moje dzieci. Wiedziecie, że takie obawy, są poprostu przesady, jakich mnóstwo mają ludzie nieoświeceni. Dziwię się tylko, że Wańdzia może wierzyć w podobne dziwactwa, które pewnie słyszała od swej piastunki.

— Niech się wujcio nie śmieje, ale doprawdy, że to niebezpiecznie...

— Może i moje siwe włosy są także niebezpieczne? — śmieje się pan Korwin. — Na szczęście jedziemy osobno, bo gdyby nie to, kto wie, czyby Wańdzia nie zażądała, żebym powyrywał sobie włosy, które mogą ściągnąć pioruny...

Śmieją się wszyscy, a Helenka pyta:

— Ale kto to wymyślił?

— Zapewne ci, którzy sobie chcieli zażartować z ludzi — objaśnia Tadzio. — Ci, którzy utrzymują, że piątek jest dniem nieszczęśliwym, stłuczenie zwierciadła wróżbą nieszczęścia, że jak się sól rosypie będzie kłótnia, że w trzynaście osób nie można zasiadać do stołu i t. d.

— Ale to wszystko są niedorzeczności, prawda tatu-siu? — dopytuje się Helenka.

— Naturalnie, moje dziecko — odpowiada tatuś.

A Tadzio proponuje nową zabawę — wymyślanie przesądów dotąd nieznanych.

— Doskonale! — wołają dzieci i zaczynają, nie tracąc czasu.

— A jeżeli chcecie wiedzieć, czytelnicy, co wymyślili, to słuchajcie, że odtąd kto rozleje atrament na stół lub na ubranie, zostanie wyłajany; kto schodząc ze schodów będzie zeskakiwał po dwa stopnie naraz, może upaść, kto połknie gorącą herbatę, oparzy sobie język a może nawet i podniebienie...

I tak się dobrze bawią dzieci, że nie myślą nawet o zbliżającej się burzy. Lecz burza idzie prędzej niż konie krakowskich fiaków; chmury dopędzają już podróźnych, i nagle, w dali, na krańcu widnokręgu zajaśniała błyskawica, a po dobrej chwili rozległ się grzmot głuchy. Chmury zakryły całe niebo, i zrobiło się ciemno jak o zmroku. Pan Nałęcz posadził wszystkie dzieci klęczący na tylnem siedzeniu, żeby nie straciły wspaniałego widoku burzy i chmur, przerynianych co chwila błyskawicami.

(d. c. n.)

## SEN ZOSI.

OBRAZEK SCENICZNY W TRZECH ODSŁONACH.

(Dalszy ciąg).

Motyl (*przebiegając scenę*). Frrrrr... strasznie pracowała ta pani pszczoła; nigdy nie ma czasu!

Gwoździak. No, teraz powiedz to, o czem mówić zaczęłaś.

Bławatek. I dokończ raz przecie.

Motyl (*okręca się*). Frrrrr... tylko się boję pani Róży, królowej roślin i kwiatów, bo gotowa mi także dać burę, jak to kuzynka pszczoła zawsze robi.

Róża. Jeśli będzie za co, to burę dać muszę.

Motyl. Nie, niema za co, tylko wy już coś do mnie zawsze cierpicie. Ale mnie to nie martwi. Jestem zawsze szczęśliwy i wesoły. Frrrrr... (*okręca się*).

Gwoździak. No i cóż to opowiadanie?

Motyl. Zaraz, zaraz, tylko chciałbym z kimś potańczyć, a tu niema z kim, bo wy się nie ruszycie, a ja znowu na miejscu ustać nie mogę. Ale już wam opowiem (*siada opodal kwiatów na słupku*).

Wszystkie. Słuchamy, słuchamy.

Motyl. Otóż wyobraźcie sobie, fruwać ja w najlepszym po ogrodzie między drzewami, krzakami, kwiatkami, fruwać pod niebo wysoko, bo słońce wesoło świeciło, aż wreszcie zmęczyłem się i usiadłszy nisko na zielonej trawie, zacząłem rozmawiać z konikiem polnym, który tak jak ja odpoczywał po zabawie. Rozmawiamy sobie wesoło, tak jak z wami teraz, aż tu naraz słyszę jakiś trzask straszny, jakiś hałas okropny. Odrazu po krzykach poznałem, że to dzieci. Nadśluchuję, patrzę i widzę: biegnie wprost na mnie chłopczyk z tem strasznym narzędziem, które nie wiem, czy znacie: z siatką na motyle! O! wierzcie mi, w tej chwili straciłem zwykłą swoją wesołość, ale z właściwą też sobie szybkością frrrr... (*podskakuje*) i już jestem wysoko. Ale ten niedobry chłopczyk goni za mną: ja na krzak, on do krzaka, ja na kwiatek — on do kwiatka, ja między drzewa — on między drzewa i tak bez przestanku, aż mi zupełnie tchu zabrakło. Bardzo wysoko wznieść się nie mogłem, byłem zmęczony tamtą wędrówką, więc trzymałem się dosyć nisko i przez to byłem w ciągłym niebezpieczeństwie.

Gwoździak i Rumianek. No i cóż, cóż się stało?

Róża. Jakże uniknęłaś niewoli?

Motyl. Już, już miał mnie doścignąć, gdy wtem skręciłem w bok i zniknąłem mu z oczu.

Wszystkie. Jakto? jakto?

Motyl. Skręciłem w bok i wpadłem przez otwarte okno do ludzkiego mieszkania. Trafiłem w jakiś ciemny kącik i stamtąd niewidzialny patrzyłem, co robi mój prześladowca. Otóż biegał na wszystkie strony, zaglądał między wszystkie krzaki i wreszcie, nie mogąc mnie znaleźć, pobiegł dalej. Dopiero wtedy, ochłonawszy ze strachu i zmęczenia, zacząłem się rozglądać w około siebie. Co tam pięknych rzeczy się napatrzyłem, co dziwnych i nigdy dotąd nie widzianych! Ach, i opowiedzieć o tem wszystkiem trudno i nawet spamiętać niepodobna tych śliczności, tych sprzętów nadzwyczajnych, naśladujących żywe obrazy i rośliny. Patrząc, aż w tem widzę na drugim końcu pokoju takiego samego jak ja motyla. Podfruwam z radością, aby się z nim przywitać i.. uderzam się z całej siły. Wyobraźcie sobie, samego siebie zobaczyłem! A wtem trzasnęły drzwi i wbiega do pokoju chłopczyk ten sam, ten mój okrutny prześladowca. Schroniłem się w najciemniejszy kącik i, wstrzymując oddech, siedzę cichutko. A on biegnie prosto do tego okna, przez które wleciałem, i zamyka je z hałasem. O! jak mi się wtedy brzydkim, szkaradnym wydał ten pokój, jak okropna, smutna klatka, jak straszne więzienie mi się przedstawiło. Przyzwyczajony do przestrzeni, zacząłem fruwać po pokoju i coraz to o ścianę, to o sufit uderzałem skrzydełkami. Zrozpaczony nie wiedziałem co począć, gdy przez drzwi niedomknięte ujrzałem pokój z gankiem otwartym na ogród. Frrrrr... (*okręca się*). Wyleciałem z radością i oto jestem z wami. (*okręca się kilkakrotnie po scenie*).

Róża. To ci się udało, kochany motylku, ale na drugi raz bądź ostrożniejszy, bo zgubić się możesz.

Gwoździak. A ja żałuję, że nie jestem motylkiem, który może fruwać z miejsca na miejsce; pofrunąłbym do tego pięknego, ludzkiego pokoju tylko na chwilę, na małą chwilę, żeby te wszystkie śliczności zobaczyć.

Bławatek i Dzwonek. O Gwoździaku, chciałbyś się dostać do tego straszego więzienia?

Rumianek. Chciałbyś w bukicie stać na stole, w porcelanowym wazonie?

Róża. I nie widzieć nieba i słońca?

Motyl. I nie mieć swobody i wolności?

Dzwonek. Umrzeć tak młodo, tak wcześnie?

Gwoździak. O nie, nie, nie myślcie tego o mnie. Ja tylko jestem ciekawy tych wszystkich dziwnych rzeczy, których nie znam.

Róża. Motylek był ciekawy i o mało nie został tam na zawsze, o mało nie przyplacił życiem swej ciekawości.

Motyl. To też drugi raz już do mieszkania ludzkiego nie zajrzę.

Gwoździak. O co to, to nie wierzę.

Róża. A może chciałbyś być urwany i wpięty we włosy albo do paska jakiej panienci. Bo nie tylko nas kwiaty w wazonie dla upiększenia trzymają, zadają nam śmierć także, aby przystroić się pięknie. Z bławatków np. dziewczynki robią sobie wianuszki, które na głowę kładą, z rumianków także, a z innych całe pęki przypinają sobie do sukienek dla ozdoby.

**Wszystkie** (z głębokiem westchnieniem). Kiedyś i nas podobny los spotka.

**Motyl.** Nie wdychajcie kuzynki, nie smućcie się, nie płaczcie, bo i mnie smutno i na płacz się zbiera, a ja tego nie lubię. Frrrrr... frrr... (przebiega po scenie). Dzień życia krótki, na co myśleć o tem, co będzie, lub być może, lepiej weselić się póki czas. A teraz żegnam was, miłe kwiatki. (posyła pocałunki). Frrrrr... frrr... (wybiega).  
(d. n.)

### S Z A R A D A .

ul. Szarotka.

*Pierwsze z drugim* codziennie bywa o tej porze,  
Kiedy słońca zachodu pogasną już zorze  
I jasnego na niebie nie ujrysz promienia;  
Chwila w której najmiłsza: gawędka, marzenia.  
*Trzecie* czyni pracownik zręczny i wytrwały,  
A trud jego, zapewniam, wcale nie jest mały,  
Bo cienie on przedziwo misternie przeplata,  
Tak, że owoc prac jego służy nam przez lata.  
*Wszystko*, kwiatek alpejski, barwami nie nęci  
A jednak jest zadatkem serdecznej pamięci.

### ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

Charlemagne dla Jaskółki.

- 1) Samogłoska.
- 2) Rzeka w Egipcie.
- 3) Dawna broń w Polsce (rodz. łuku).
- 4) . . . . .
- 5) Ptaki z rodz. wróblowatych.
- 6) Kanton w Szwajcaryi.
- 7) Samogłoska.

Rząd środkowy oraz środkowe litery złożyć mają nazwę rzeki w Ameryce.

### ZAGADKOWY NAPIS

znaleziony w ruinach starego zamku.

NI...EG...OSC...DŁUG  
OWIED...NY...M...DO..  
MUN...IENA...PR..ZS  
SI...E...NIK...O...MU.

Kto go odczyta?

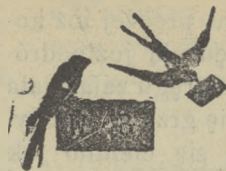
### ROZWIĄZANIA DO N-ru 24-go

*Metagramu:* Prom, grom.

### Logogryfu:

- 1) Owies. 2) Rygotber. 3) Nassau. 4) Antał. 5) Taczka.
- Ornat — stuła.

*Figla:* Ka — pu — — sta.



## Skrzynka do listów.

Do dzisiejszego numeru dołączamy dodatek książkowy podwójny z Nr. 25-go i Nr. 26-go.

**Dobre rozwiązania zadań i zadania własnego układu nadesłali:** Sarenka Modrooka, Władysław Królikowski, Zbyszko, Nieśmiały Wilczek z pod Płocka, Lilla Weneda z Satyjowa, Hiszpan z Kadyksu, Janek podróżnik, i Wańdzia; Złoty Sokół rozwiązał dobrze logogryf, a źle metagram.

**Płaczącej Brzoźce z Kniaży.** Przesłane powiastki do druku się nie nadają, zdradzają pewne zdolności, trzeba jednak, abyś sumiennie popracowała nad stylem i gramatyką, bo pierwszym warunkiem dobrego pisania jest gruntowna znajomość języka. Z przyjemnością będę odczytywała dalsze próby twego pióra, jeśli mi je nadsyłać zechcesz. Jako podróżnik hist. liter. polskiej radziłabym ci dzieło *Króla i Nitowskiego* (w II częściach).

Szczerze ci wieszczę, **Nieśmiały Wilczku z pod Płocka**, żeś z pochwałą przeszedł do pierwszej klasy. Należy ci się odpoczynek, ale w twoim wieku odpoczywa się prędko, a młode siły rwą się do działania, nawet w chwili, gdy główka odpoczywać rada. Do lekcji w czasie wakacji zasiadać nie chcesz, czemu się wcale nie dziwię, ale zapytujesz, czemu by się zająć? Otóż ja bym ci radziła zabawę, połączoną z pewnym zajęciem, jak np. ogrodnictwo, zaznajomienie się z gospodarstwem i otaczającą przyrodą, gimnastykę na świeżem powietrzu, zbudowanie sobie altanki i t. p. W dni nieporadne jakieś roboty ręczne, klejenie, rysowanie, jeśli masz gust do tego, a przedewszystkiem jednak czytanie, bo oprócz nauk masz jeszcze tyle ciekawych i pożytecznych rzeczy do poznania. Nakoniec radziłabym ci jeszcze, byś z uwagą przeczytał warunki konkursu na wypracowanie ogłoszone w numerze dzisiejszym, a drugi temat podnosi właśnie rzucone przez ciebie pytanie. Zastanów się nad nim i stań do konkursu. Co do listów twoich wierzę, że nie tylko się z nich nie śmieję, ale przeciwnie, odczytuję z prawdziwą przyjemnością i zajęciem.

**Lilla Weneda** podała tylko rozwiązanie łamigłówki własnego układu, nie podała zaś właściwego zadania t. j. znaczenia wyrazów, które należy zgadywać. W następnym liście możesz łatwo ten brak dopełnić. Bardzo poczcziwie z twojej strony, że nie żalując trudu, przysłałaś mi dalszy ciąg zajmującej powieści, żaluję tylko, że na zakończenie długo mi przyjdzie poczekać, gdyż w przyszłym tygodniu pożegniam was na czas wakacyjny. Nie znaczy to jednak aby skrzynka nasza zamknięta została, Redakcyja na wszelkie listy i pytania odpowiadać będzie i spełniać chętnie wasze polecenia. Zatem do widzenia drodzy czytelnicy do przyszłego numeru, a potem przerwę naszą korespondencję na dwa miesiące i pofrunę na wieś

Wasza *Jaskółka*.

**Dla zbieraczy marek pocztowych** podajemy wiadomość, że podług obliczeń pewnego Anglika, od czasu wprowadzenia w użycie marek pocztowych wypuszczono na całym świecie ni mniej ni więcej, jak 14626 rozmaitych rodzajów. Taka więc ilość musi zawierać zupełna kolekcya wszystkich marek. Naturalnie ogromna ich większość już wyszła z obiegu. W roku zeszłym we wszystkich państwach było w obiegu 816 rodzajai marek.

### Od Redakcyi.

W II-em półroczu w dodatku książkowym od N-ru 28 rozpoczniemy druk powieści Teresy Jadwigi z czasów naszych prababek p. t. „Hrabina.” W IV kwartale wyjdzie jako *premium bezpłatne* dla wszystkich prenumeratorów „Wieczorów” opowiadanie, pełne ciekawych przygód p. t. „W krainie tygrysów.”